№ 15. Warszawa, dnia 28 Marca (9 Kwietnia) 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI,

ur. w Warszawie d. 28 Lipca 1812 r. — zmarł w Genewie d. 19 Marca 1887 r.

Z LITERATURY BIEŻĄCEJ.

Antoniego Prochaski Szkice historyczne z wieku XV.

(Dokończenie.)

Mniemano dotychczas, że sławny ten rycerz, który żył za czasów Jagiełły, z pochodzenia był Czechem; ale nasz autor wykazał, że był to Polak z Sandomierskiego, że Zawisza (dziś znane nazwisko) było to pierwotne imię, z Czech przyniesione, że wojownik, o którym mowa, nazywał się właśnie Garbowski i używał herbu Sulima (orzeł czarny). Walczył najwięcej na obczyznie, w służbie cesarza Zygmunta, był jednak przy boku Jagiełły pod Grunwaldem. Sprawował różne poselstwa: na soborze w Konstancyi, razem z innymi posłami polskimi, protestował przeciwko spaleniu Husa, a gdy Zygmunt z Krzyżakami knuł zamiar podziału Polski, Zawisza odkrył Jagielle i udaremnił te plany. Zginął 1428 roku w wyprawie tureckiej Zygmunta, pozostawszy sam z garstką nieliczną na brzegu Dunaju, wówczas gdy cesarz z wojskiem uciekł sromotnie.

Przysyłał pono łódkę po Zawiszę, ale bohater nie chciał opuścić towarzyszy i ujęty przez Turków i z powodu orła herbowego na tarczy wzięty za samego cesarza, został ścięty. Nagrobek ma w kościele Franciszkanów krakowskich.

Postacią zupełnie dla nas nową, z którą zapoznaje czytelników nasz autor, jest Mikołaj herbu Kornicz, z przydomkiem Siestrzeniec, burgrabia będziński, a następnie rabsztyński, który żył za czasów Jagiełły i jego następcy. Autor nazywa tego Mikołaja „husytą polskim", gdyż jeżdżąc kilkakrotnie do Czech w poselstwie od Jagiełły, zaraził się tam herezyą husycką, jak bardzo wielu innych panów i szlachty polskiej. Siestrzeniec był nadto wielkim awanturnikiem i pieniaczem, a nawet rycerzem rozbójniczym, napadającym na kupców podróżnych, jak to bywało długo powszechnym obyczajem w sąsiednich Niemczech, a u nas trafiało się rzadko. Toczył zaś walkę głównie z biskupem Oleśnickim i jego krewnymi, zajeżdżając dobra ich i przyjaciół. Oskarżony kilkakrotnie o gwałty, a raz nawet o zdradę pojednał się jednak w końcu z Oleśnickim i królem i umarł spokojnie 1443 r.

Równie mało słyszeliśmy o innej jeszcze osobistości z tej samej epoki, którą wyprowadza przed oczy czytelnika szkic następny. Był to Henne, błazen czyli trefniś — osoba wtedy na dworach niezbędna dla śmieszenia i rozweselenia panów. Henne był Niemcem, bawił zaś na dworze Witolda, przysyłany mu kilkakrotnie przez Pawła Russdorfa, wielkiego mistrza krzyżaków. Towarzyszył Witoldowi w jego wyprawach, z których pisywał listy do w. mistrza: jeden z tych listów, datowany aż ze Smoleńska, przechował się dotychczas w archiwum królewskiem. Witold pasował tego błazna na rycerza i dlatego Henne podpisuje się żartobliwie: „przed południem rycerz, po południu błazen". Nie ulega wątpliwości, że rycerz-błazen był oprócz tego ajentem i szpiegiem krzyżackim, z właściwą zakonowi niemieckiemu zręcznością przydanym do boku Witolda.

W ostatniem opowiadaniu p. t. „Zabiegi Ciołka o infułę" pełno szczegółów charakterystycznych do stosunków ówczesnej władzy świeckiej do Kościoła oraz biskupów pomiędzy sobą. Stanisław Ciołek, sekretarz króla Jagiełły, dwukrotnie ubiegał się o biskupstwo: raz poznańskie, potem płockie, bezskutecznie, z powodu oporu papieża. Z tego więc powodu pisywał król Jagiełło do Rzymu listy uszczypliwe, których autorem był zapewne sam Ciołek. Ten ostatni kłócił się także z wszechwładnym wówczas Zbigniewem Oleśnickim i pocieszną jest rzeczą czytać dziś zarzuty nieuctwa, nieobyczajności i t. p., któremi obrzucali się nawzajem dwaj dostojnicy duchowni.

Tak np. Ciołek zarzuca Oleśnickiemu, że nie zna prawa kanonicznego i że wychowywał się w „szkole żydowskiej" (?). Z punktu widzenia historycznego, owe zatargi są ważne dlatego, że Ciołek wykazuje się w nich jako zwolennik mianowania biskupów przez króla i w ogóle poddania Kościoła pod władzę państwa, był więc, chociaż sam biskup, wyznawcą idei, która zaledwie dziś, w wieku XIX zyskała szersze uznanie.

Przeciwko tej idei walczył całą siłą Zbigniew Oleśnicki, a sprzyjał jej nawet, jak widać pobożny Jagiełło; więcej zaś jeszcze syn jego Kazimierz, który nawet potrafił, choć na krótko, wprowadzić tę zasadę w życie.

L. S. W.

Jarosław Vrchlicki.

Z CYKLU: „SYMFONIE".

Z czeskiego przełożył

MIRIAM.

GŁOS NA PUSZCZY.

Swój gwiezdny puhar noc mi do ust kłoni,
Duch stoi w progu żywota nowego;
W głowie mi echo starych baśni dzwoni.

Dech nocy pada w ciemność serca mego,
Jak z rąk przyjaciół kwiaty na grób świeży,
Jak róże głogu, które ruin strzegą.

I chylę głowę; północ bije z wieży —
Lecz razem jakaż pieśń cudna słuch trąca!
Westchnienia, łoskot fali u wybrzeży,

Harmonia dzwonów, gdy gaśnie krąg słońca,
Szum drzew, gdy noc je płaszczem swym okryje,
Krzyki radości, jęki, burza grzmiąca!

To nie płacz fali, gdy w brzeg skalny bije,
Nie wichrów gniew, gdy zbudzą się w gęstwinie,
Nie chór żywiołów rozpętanych wyje:

Ten hymn nad światem uśpionym w dal płynie,
Jak śpiew tryumfu, bieguny go czują,
Drżą — ziemia, gwiazdy na niebios wyżynie...

Dziwna to pieśń, gdzie ból i szał pulsują,
Zkąd radość, jęki, klątwy grzmią w przestworze,
Gdzie Bóg i Eblis wzajem się radują;

W niej pra-bór szumi, w niej szaleje morze,
W niej w proch się walą starych bogów trony...
W jej tonach nowe ludziom wstają zorze!

Co święte gaje łkały wkrąg Dodony,
Czem w Delfach święto usta ziemi drżały,
Kiedy z pieczary dym wychodził wonny;

Co groźnym głosem Erynnie śpiewały,
Gdy Olimp czoło swe przed krzyżem skłonił,
A gromów z Zeusa rąk wypadły strzały;

Klątwy Kaina, gdy grzech go w świat gonił,
Płacz, gdy potopu wód lały się rzeki,
Czem Memnon w puszczy na wschód słońca dzwonił;

Co prorok widział w swej drodze do Mekki,
Co Faust wyjęczał krocząc błędów cieniem,
I żyd Ahaswer, błądząc długie wieki;

Wściekłość Samsona, gdy chram lwiem ramieniem
Wstrząsł; jęki wieszczów, których nic nie stłumi,
I śmiech cynika nad ludzkiem spodleniem:

Wszystko w tej pieśni jęczy, płacze, szumi,
Łka, woła, wzdycha, walczy, grzmi i zgrzyta...
Gdzie jest poeta, który ją zrozumie?

To pieśń ludzkości! W niej ta woń ukryta,
Którą jej przeczuć i snów kwiaty płoną,
W której duch Boży w człowieczym zakwita!

Ja słyszę ją — i w łzach mi oczy toną...

* * *

Gdzież idą pieśni tej tajemne tony?
Gdzie cel jej? Kędy ucichną te dźwięki,
Ten wieczny prąd, wir westchnień nieskończony?

Czyż serc walczących, burzliwe odjęki,
Czyż głów myślących zachwyty, marzenia,
Czyż ust spalonych pragnienie i męki —

Bez kropli rosy, bez nagrody cienia,
Bez portu, celu, pociechy, zapłaty,
Mogłyby upaść w otchłań zapomnienia?

Na cóż duch świata, w zórz odzian szkarłaty,
Miałby aniołów hufce przy swym tronie,
Jeśliby pieśń ta miała zamrzeć z laty?

Czem w pracy ducha ludzka myśl zapłonie,
Wszystko jest wiecznem! Twe łzy anioł zbiera
I rzuca wszystkie w hymnu tego tonie,

Który słyszała pierwsza świata era,
Nad próżnią świata, jak łoskot fal morza, —
W ten hymn odwieczny, który nie umiera!

Kto wpierw dosięgnie edenu przedproża,
Aniołów śpiewy, czy jęki żałości?
Gdzie idzie pieśń ta? Do Pana przestworza?

Do panteonu — ja mówię — ludzkości!

* * *

O wieczny hymnie! Pierwsze strofy twoje
Łkał Adam, rajskie gdy stracił ustronie,
Łez gorzkich lejąc na pierś Ewy zdroje.

Twym głosem góry dźwięczały i błonie,
Widząc, jak grecki świat w gruzy się kruszy,
Jęczał cię w cyrku gladyator przy zgonie!

O, cóż dziwnego, że gdy w nocnej głuszy,
Zagrzmisz potężnie nad poety uchem,
Inny świat, nowy wstaje w jego duszy!

O, cóż dziwnego, że wnet twórczym ruchem
Drży łono jego, krew pulsuje w skroni,
I łez mu rosa błyszczy w oku suchem!

A twa harmonia kiedy w nim zadzwoni,
Że wszystkie jego pieśni są twem echem,
Że wciąż ku tobie duch jego się kłoni!

Pieśni ludzkości! Jak Maj swym oddechem,
Ziemię w raj zmienia, zrywa pęta z rzeki
I w pączku budzi kwiat ciepłym uśmiechem:

Tak serce moje, na głos twój daleki,
Jak ptak bajeczny, strząsa tęcz promienie;
Czem są dla niego — śmierć, przestworza, wieki?

W tobie zbawienie, żywot, odkupienie,
Nadzieja, czyn i na przyszłość otucha,
Duch prawdy, piękna wieczyste jaśnienie!

O wielki tryumf! O misteryum Ducha!

* * *

O, czyńcie ścieżki proste! On przychodzi!
O, dobą przyjścia jest znów nasza doba!
On piersi wasze tchnieniem swem odmłodzi!

On, który nie wie, co jest śmierć, choroba,
W tron niebios skałę Prometeja zmieni
I zleje raju blask w rany Hioba.

Pod jego okiem Dante piekło cieni
Zburzy i poda Shelleyowi dłonie,
A ideału blask ich opromieni!

A jako feniks w ogniu własnym płonie,
Tak on w natchnienia padnie płomień czysty,
By w nowej krasie wzbić się w światła tonie.

Nie jako Memnon już, lub krzak ognisty —
Ludzkiem do ludzi przemówi on słowem,
A wieszcz mu będzie niósł hołd wiekuisty.

O szczęsny wieku, w którym w świetle nowem
On złote skrzydła swej przyszłości złoży,
By ziemię słońcem odrodzić myślowem, —

Czy ty go poznasz? Piękniejszy, niż z Bożej
Prawicy wyszedł, ducha swego kwiatem,
Zbliża się do nas, Pan czasu, przestworzy,

I „Ecce Homo!" znów grzmi ponad światem!

* * *

Wieszczu, którego czasu falowanie
Rzuciło tutaj, straż nowej przyszłości,
Kiedyż ten piękny sen być snem przestanie?

Może świt tylko w twojem sercu gości?
Może ty jeden widzisz przyszłe cuda,
A ludy jeszcze wciąż błądzą w ciemności?

Może niezawsze natchnieniu się uda
Rozdmuchać ogień na ołtarzu krasy?
Snadź błyski w mroku przedstawia ci złuda?

Czyż brzask już? czyż się wypełniły czasy?
Czyżeśmy godni sławić przyjście Ducha?
Czyż mocne — patrzyć w słońce ciemne masy?

Snadź blaski biją od miecza, łańcucha?
A to, co ty zwiesz wschodowym szkarłatem,
To tylko krew, co z ran śród walki bucha?

Jak tłum żebraków idzie ludzkość światem,
Próżno zapuszcza w zagadek otchłanie
Świt myśli! Czyliż nie boisz się zatem,

Że śpiew twój będzie jak w puszczy wołanie,
Co, jak skra błędna nad moczaru kałem,
Zabłyśnie, mignie — i świecić przestanie?

Gdzież wtedy pójdziesz?...

— Wciąż za ideałem!

PIERWSZE KŁOPOTY.

NOWELLA

Świętopełka Czecha.

Z czeskiego przełożyła

Helena R.

(Dokończenie.)

Wywabił przeto całe znane nam towarzystwo na dalszą wycieczkę w góry. Pogoda była piękna, przyroda jaśniała w tej porze całą potęgą uroku; a chociaż bogata natura uśmiechała się, roztaczając wspaniały, zachwycający majestat dokoła, jednak znajomi nasi byli dzisiaj jakoś smutni i przygnębieni, W ponurem milczeniu prześli uroczą krainę, minęli gęsty, ciemny las i machinalnie prawie zaczęli spuszczać do malowniczej doliny, rozłożonej u stóp sławnego Harmburga. Dolina ta, mająca na północy łańcuch olbrzymich gór pokrytych bujną roślinnością, tworzącej ciemne, gęste lasy a na południu potężny grzbiet Harmburgu, tworzyła podłużne zagłębienie i przedstawiała widok rzeczywiście pyszny. Głęboka cisza, panująca w tem miejscu, przerywana tylko kiedy niekiedy głuchym szumem, opodal szemrzącego strumyka, dodawał jej jeszcze uroku. Widok tak rozkosznego krajobrazu nie uczynił jednak na nikim wrażenia.

Nadmienić należy, że Leszan i Jarmiła od dni kilku uważali że pan Wielimski i guwernantka wzajem się uporczywie unikali i że chwilowa zażyłość oddzieloną została nieprzepartym murem, iście lodowej obojętności. Panna Bożycka nieodstępnie przy boku swym trzymała wychowankę. Pan Wielimski przybity i ciężki powoli kroczył za niemi, a dobry i zacny Leszan, widząc tak długo przez siebie wypieszczone plany, niepojętym dla niego sposobem naraz zburzone, był zamyślony i małomówny. Młoda dziewczyna, dla której runął cały gmach wymarzonego szczęścia, najsłodsze nadzieje zdruzgotane nielitościwie ślepą ręką nieubłaganego losu, posępne spojrzenia ukradkiem rzucała to na ojca, to na guwernantkę.

Wtem Jarmiła się pochyliła, by podnieść jakąś roślinę, poczem z żywą ciekawością zwróciła się do swego przyjaciela, prosząc o objaśnienie. Leszan zbliżył się do niej skwapliwie. Rozmawiając, nieznacznie się oddalili i wkrótce skryli się w górach.

Po długiej chwili dopiero spostrzegł p. Wielimski, że są sami.

Rozejrzał się po okolicy i naraz oblicze jego rozpromieniło się niewysłowionem szczęściem i miłością:

— Ah, popatrz no, droga pani — zawołał z radosnem uniesieniem, zbliżając się do siedzącej na ławeczce guwernantki — popatrz na Sutom, jaka moja pieszczotka jest śliczna, jaka ożywiona! Trapiłem się niepotrzebnie od dni kilku, widząc ją smutną, bladą i poważną, tymczasem, przyznaj pani, czyż ta złocista główka, oświetlona promieńmi słonecznemi, te świeże rumiane lica mojej dziewczynki, do jasnego, majowego podobne poranku, nie zadająż kłamu otaczającej nas naturze, od której lada chwila spodziewać się możemy mrozu i śniegu? Ależ, ona wygląda jak księżniczka, jak rusałka, jak Ondyna! Albo Leszan stary druh mój kochany, ktoby się to był po nim spodziewał, po tym dzikusie, koczowniku, że tak się ożywi przy młodej latorośli! Jak zwinnie i zręcznie wdziera się za nią na górę. Hm, hm, z jaką galanteryą podaje jej ramię; odmłodniał widocznie przy tej wiośnie życia! Ale, oh, widzisz kochana pani, widzisz, Jarmiłka nas spostrzegła, kłania się, pokazuje nam coś. Ah, to wieniec, własnoręcznie przez nią uwity i...

— I, którym owija kapelusz pana Leszana! — przerwała ozięble panna Bożycka, dumnie prostując wyniosłą postać swoją. — Dawno już pragnęłam zwrócić uwagę waszą, szanowny panie, na zachowanie się dziewczęcia względem gościa waszego. Ja kocham Jarmiłę, zarówno z wami. Przeto postępowanie jej martwi mnie, boli; zdradza bowiem brak zaufania do mnie. Widziałam już kilka razy, jak zeszli się potajemnie w parku, ciągle coś szepczą, dają sobie znaki porozumienia przy zbliżeniu się mojem lub waszem. Ona jest za młodą, abym jej wytłomaczyć mogła, że takie postępowanie nie przystoi dorosłej już pannie. Najlepiej by więc było, gdyby pan Leszan, jaknajprędzej ztąd wyjechał, a im prędzej, tem lepiej.

Wtem mgła nieprzejrzysta zasłoniła im nagle widok na Sutom, a ciemność prawie zupełnie zaległa całą dolinę. Silny wicher wstrząsał olbrzymiemi dębami, rzęsisty deszcz spadł wielkiemi kroplami. A wszystko to stało się tak szybko, tak prędko, że rozmawiający zaledwie tyle mieli czasu, aby skryć się pod sterczącą skałę, tworzącą niby rodzaj jaskini. Burza z całą srogością i wściekłością szalała przez dobre parę godzin, połączona z błyskawicami i gwałtownym hukiem grzmotów, odzywającym się przeciągłym jękiem w górach.

Jarmiła drżąca i bledziutka jak płótno na jej szyi, przytuliła się mocno do silnego męża, który troskliwie ją pledem okrywał. Serce biło jej tak gwałtownie, że tchu jej brakło. Oboje z Leszanem znajdowali się na pewnej płaskiej wyniosłości boku Sutomskiego, pod potężnym dębem, którego gęste gałęzie i liście doskonałą stanowiły ochronę.

Leszan czuł gorący oddech dziewczęcia, silne bicie jej serca, widział jak dwie wielkie łzy spadły z jej ślicznych, błękitnych oczu. Wstrząsnął się, zapomniał się na jedną chwilę i nieborak z niewysłowioną rozkoszą począł gładzić jedwabny warkocz jej miękkich, lśniących włosów. Dziewczę przymknęło oczy i ciężko westchnęło. Pokusa była za silną. Wiedział, że gdyby tylko wyrzekł słowo jedno, a młode to, pełne życia dziewczę, z całą dziecięcą ufnością, chętnieby oddało swoją przyszłość w jego ręce. Zacny ten człowiek nie chcąc korzystać z tego uporczywie milczał.

— Nie będę ja wiązał starego, steranego życia mego z przyszłością tego rozkosznego dziecka! Córką moją by raczej być mogła, ta śliczna, niewinna istota! Ha gdybym tak był młodszy o jakie lat dziesięć, kto wie?... ale dziś...

Postanowił więc nazajutrz koniecznie opuścić gościnne progi domu swego przyjaciela. Burza ustała. Było już dość późno, wypogodziło się zupełnie, tysiące gwiazd iskrzyło się na niebie, powietrze było ciche i spokojne. Z dołu ozwało się głośne wołanie: Jarmiło, Jarmiłko! gdzie jesteś, dziecię?

Jarmiła się ocknęła, jakby ze snu głębokiego, a Leszan odpowiedział za nią:

— Jesteśmy! jesteśmy! Spuszczamy się właśnie z góry, a potrwa to dość długo, ponieważ burza przeklęta zepsuła nam ścieżkę.

Wkrótce towarzystwo się połączyło i udało, choć nie bez trudności do domu. Nazajutrz po źle spędzonej nocy, Leszan zbudził się dość późno.

Wszedłszy do sali jadalnej, zastał tam tylko samego gospodarza. Leszan zbliżył się więc do przyjaciela i podziękowawszy w gorących słowach za serdeczną gościnę, objawił, iż zamierza jutro opuścić miły mu ze wszech miar, dom jego.

— Jakto, jutro? Szczególny zbieg okoliczności — zawołał pan Wielimski — bo jutro opuszcza nas także i nasza guwernantka.

— Kto? panna Bożycka wyjeżdża ztąd jutro, czy na zawsze? — zapytał zdumiony Leszan — ale dlaczego? — badał poczciwiec przyjaciela — z jakiej przyczyny?

— Doprawdy, że nie wiem — rzekł mocno zakłopotany pan Wielimski. — Wczoraj zażądała poprostu, abym ją jak najrychlej uwolnił, ot i wszystko.

— [illegible]o, a ty Prokopie, ty, czyś nie starał się jej [illegible]ynajmniej zatrzymać? — pytał prawie z wyrzutem dobry i zacny Leszan.

— Nie, bo nie mam prawa do tego. Zresztą przyznam ci się, kochany Leszanie, że pobyt młodej i pięknej kobiety w domu wdowca, jest teraz wprost niemożliwy. Dotychczas było zupełnie co innego: miałem oprócz guwernantki, jeszcze jedną starą, bardzo dobrą nawet i nadzwyczaj przywiązaną do pań kobietę, która pełniła tu obowiązki gospodyni. Niedawno temu, nie wiadomo za co, rozgniewała się i nagle nas opuściła. Musiałbym zatem i tak coś postanowić. Jarmiła guwernantki już nie potrzebuje. Oddam ją więc na całą zimę do krewnych, do miasta, a panna Bożycka może dla siebie inne, lepsze znajdzie miejsce—dodał jąkając się mocno. Leszan milczał.

— Więc to tak — pomyślał z goryczą — więc tak dumnie, chłodno, wyniośle puszcza się kobietę, która tyle lat z prawdziwie macierzyńską troskliwością opiekowała się jego skarbem, jego ukochaną jedynaczką! O! a Jarmiła w prostocie swej dziecinnej naiwności marzyła, że guwernantkę uczyni swą matką. Biedne dziecko! Ale biedniejsza jeszcze guwernantka! Jaki los ją znów czeka? Ah! smutna jest dola twoja!

Niemal ze zgrozą spojrzał na swego przyjaciela, a w oczach jego błysnęły, wielka energia i silne postanowienie! Po śniadaniu Leszan udał się do swego pokoju i począł czynić przygotowania do jutrzejszego odjazdu. Panna Bożycka do obiadu nie przyszła wymawiając się bólem głowy.

Kiedy Jarmiła się dowiedziała, że gość już opuszcza ich dom, zbladła, ale milczała. W godzinę później oczekiwała go na korytarzu i do swego poprosiła pokoju.

— Macie więc rzeczywiście zamiar nas opuścić?— zapytała się smutnie i ciężko westchnęła.— A plany nasze? Czyż wszelką straciliście już nadzieję, panie, aby się nam powiodły?

— Odjeżdżam, tak pani — rzekł stanowczym głosem — bom zadługo tu gościł. Wszak powiedziałem już, że nie jestem miłośnikiem domowego ogniska i że mnie coś wiecznie pędzi i goni w świat szeroki a daleki. Zresztą i projekt nasz jak widzisz — dodał z gorzką ironią nie wiedzieć dlaczego spełzł na niczem.

— A jednak — zawołała Jarmiła — ja wam ręczę, że guwernantka moja cofnie się jeszcze i od nas nie odjedzie!

— Być może, dobra moja przyjaciółko, ale gościnę uważam już za skończoną i nieodwołalnie jutro w dalszą podróż się udać muszę.

Jarmiła zakryła twarz rączkami a gdy po chwili odjęła je, była mocno zmienioną. W ślicznych oczach błyszczały łzy, a świeże jagody dziewczęcia były bardzo blade.

— A więc Bóg z wami, drogi panie — rzekła głosem drżącym że wzruszenia i żalu. — Bóg z wami! Jedźcie, ale wspomnijcie kiedyś prostą dziewczynę wiejską i pozwólcie jej od czasu do czasu kilka słów napisać. Nastanie zima, będziecie je może czytać przy blasku ognia na kominku.

Wieczorem tego dnia przeszedł się Leszan po parku. W jednej z altan spostrzegł pannę Bożycką. Szlachetny profil jej pięknej twarzy, tęskne, rozmarzone spojrzenie czarnego oka i lekka chmurka na bladem, marmurowem czole, czyniły ją dziś niezwykle uroczą. Leszan się zatrzymał.

— Ah, dla takiej kobiety niejedno warto poświęcić — pomyślał — i bez obawy złożyć można w jej ręce przyszłość swą całą a z pewnością nie zawiedzie położonego w sobie zaufania — i wyrzekłszy to z mocą wszedł do altany.

Panna Bożycka się odwróciła.

— Ah, pan Leszan! — zawołała panna Bożycka.

— Słyszałem, że jutro nasz pani zamiar odjechać?

— Tak jest, odjeżdżam — odparła krótko ale stanowczo.

— A i ja też zbyt długo tu pozostawałem, możebyśmy więc razem podróż tę odbyli?

— Czyż w jedną się drogę udajemy? — zapytała obojętnie.

— Nie, ale moglibyśmy się tak urządzić, aby drogi życia naszego na zawsze się splotły, dobra pani — wyszeptał rozrzewnionym głosem dzielny ten człowiek, a w poczciwych oczach jego zabłysł blask miłości i gorącej prawdy.

— Panie Leszanie, jakże sentymentalnie dziś przemawiacie! — odrzekła z ironicznym uśmiechem, który zmroził i ostudził Leszana, a potoki słów miłosnych, cisnących się gwałtem na usta zamarły w połowie drogi. — Nie chceszże, sądzę, abyśmy razem pędzili życie, jak para Kirgizów, kończyła nieco spokojniej, rzuciwszy na sąsiada spojrzenie.

Nazajutrz raniutko wyjechała panna Bożycka. W godzinę później zajechał powóz malarza.

Kiedy Leszan w dziwacznym swym stroju podróżnym i szerokim kapeluszu zajął majestatycznie miejsce pomiędzy bagażami, płótnami, stalugami... pan Wielimski zbliżywszy się, by jeszcze raz uścisnąć dłoń przyjaciela, wyszeptał ścicha:

— Ale, na ślub mój, kochany Leszanie, zapewne przyjechać zechcesz, nieprawdaż?

— Co? na ślub twój, Prokopie!

— Tak jest, żenię się z panną Bożycką.

— A cóż wyjazd jej nagły znaczy?

— Pojmujesz doskonale, że nie wypada, aby narzeczona mieszkała w jednym domu z narzeczonym. Wkrótce pojadę ją odwiedzić do jej krewnych, gdzie się i ślub nasz odbędzie, o czem cię zawiadomię. Wybacz mi, przyjacielu, żem wczoraj kłamał, lecz tak byłem zakłopotany, że sam nie wiedziałem co mówię.

Zwyciężyła zatem mała intrygantka, stająca na górze w oknie swego pokoju blada i wzruszona.

Leszan dostrzegł ją, uczuł ból w sercu, żal dotkliwy, tęsknota owładnęły nim całym i...

W pół roku później dwie pary stanęły na stopniach ołtarza, łącząc się w Imię Boże na dolę i niedolę całego swego życia.

Jarmiła została już na zawsze małą intrygantką, tym bardziej uprawnioną w swym tytule, iż według twierdzenia ojca, nietylko wyswatała go ale największego włóczęgę i obieżyświata do stóp swych przykuła.

KONIEC.

KILKA DNI
W NOWYM-YORKU.

Z NOTAT PODRÓŻY

KAROLA BIGOT.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Skała kruchsza tu, niż na brzegu amerykańskim, co rok też Horse-shoe, głębiej się w niej zanurza. Tędy Niagara toruje sobie łoże. Kiedyś, może za kilka wieków, cała rzeka przetoczy się w tę stronę wyspy Koziej, wtedy zniknie amerykański wodospad.

Mamy jeszcze zwiedzić wielkie prądy, o kilka mil od wodospadu. Jedziemy ku nim kwadrans wybrzeżem kanadyjskiem. Znajdujemy tu nową kolej żelazną na linach, spuszczamy się aż do poziomu wody. Trudno wyobrazić sobie tę rzekę, głęboka na sześćdziesiąt metrów, uwięziona w ciasnem łożysku, toczy się po skałach jak rozhukany potok, miota się, jeży, wiruje, podrywa wściekłym rzutem. Widziałem w zeszłym roku Dunaj u wrót żelaznych, dotąd jeszcze słyszę ryk i pogwizd pa-

rowca, walczącego z szalonym prądem, ale wobec Niagary, sam Dunaj u wrót Żelaznych, spokojnym jest strumieniem.

Cztery godziny zbiegły szybko na tej wycieczce. Gdy chcę określić wrażenie tego poranku, znajduję tylko jeden wyraz odpowiedni, a tym jest wyraz *groza*! Niagara nietylko że jest wielka, wspaniała i przepyszna, jest ona niemniej straszliwa, okropna, przerażająca. Im dłużej w nią patrzymy, tem bardziej wzrasta w nas uczucie przestrachu. To potęga rozhukanej przyrody, wobec niej człowiek czuje się niczem.

Gdyby starożytność znała Niagarę ubóstwiałaby ją bardziej niż Charybdę i Scyllę. Byłaby rzucała ofiary w ryczącą wiecznie paszczę potworu. Niagara nie jest wprawdzie niczem więcej, jak spadkiem wody podniesionym do ogromnych rozmiarów, to ten sam fenomen prawa ciężkości, jaki widzimy codzień, lejąc wodę z dzbanka do misy, to tenże sam fenomen, co porusza wszystkie młyny i kaskady, zbiegające z góry, co tworzy wodospad Renu w Szafhuzie. Ale proporcye Niagary, o tyle przerosły zwykłą miarę, oko i ucho w obec niej, tak potężny odbiera pocisk, że nerwy wstrząsają się do głębi, rozum milknie, wyobraźnia poznaje całą niemoc, czujemy się całkiem przygnębieni. Gdyby w Ameryce nie było nic więcej prócz Niagary, wartoby przepłynąć dla niej ocean.

Czas wracać. O czwartej wsiedliśmy do wagonów, nasamprzód amerykańskiem wybrzeżem kierujemy się w stronę jeziora Ontario. Po lewej ręce rzeka płynie u stóp naszych, patrząc z wysokości, rzekłbyś że to kipiący metal. Wracamy do Niagary, a teraz dalej w drogę. Wnet jezioro Erie roztacza się przed nami, istne morze, parowce i łodzie krzyżują się bez ustanku. Dobiegamy Buffalo. Wkrótce będzie to jedno z pierwszorzędnych miast amerykańskich, nowy kanał połączy je z Hudsonem. Kolej przecina miasto, biegnie wzdłuż ulic, nigdzie niezagrodzonych, dzwonek tylko ostrzega jezdnych i pieszych, aby się mieli na baczności.

Po pięknym dniu, słońce prześlicznie zaszło. Gdy noc zapadła, pan Chaunsey kazał zastawić obiad.

Była to uczta pożegnalna. Między innemi przysmakami, podano szczególny rodzaj kaczek dzikich, bardzo tu poszukiwany, jedna kosztuje do piętnastu franków. Jedzą z nich tylko piersi, prawie surowe, ledwie ogrzane do temperatury żywego ptaka. My profani, nie mogliśmy w tem zasmakować.

Wesoły był ten obiad. Czas piękny, odebrane wrażenia, miłe towarzystwo, wszystko to, wybornie nas usposabiało.

Pan Chaunsey opowiadał nam, że ojciec jego pochodził z rodziny francuzkiej, prababka jego była austryaczką, babka Holenderką, matka angielką. W żyłach jego płynie krew wszystkich ludów Europy, mimo to jest dobrym Amerykaninem. Wielu współziomków jego, ma również poplątany rodowód, co nie tamuje bynajmniej uczuć patryotycznych, zakorzenionych wspólnem wychowaniem i siłą tradycyi.

* * *

Przez tydzień pobytu naszego w Nowym-Yorku, uderzyło nas to szczególniej, żeśmy nie dostrzegli ani jednego pogrzebu, w codziennych przechadzkach naszych. Rzekłbyś że tu nikt nie umiera. A przecież śmierć tu częstym gościem, częstszym zapewne niż gdzieindziej, życie bowiem kipi gorączkowo, a miasto zbudowane na wyspie w bardzo niekorzystnych warunkach. Febra panuje też bezustannie, tak w Nowym-Yorku jak w całej okolicy.

Nie ma na wyspie cmentarza, a przynajmniej oddawna tu nie grzebią. Nowoyorczycy spoczywają po trudach, na stałym lądzie, w Nowym Jersey lub w Brooklyn. Zwiedziliśmy we wtorek ostatnią z tych dwóch nekropolii.

Podróż to nie mała, koleją żelazną przebyliśmy most, poczem tramwajem w darliśmy się na wzgórze Green-Wood. Po trzech kwadransach jazdy tramwaj stanął przed wielką bramą gotycką, byliśmy już u celu.

Cmentarz ten nie należy do miasta, lecz do prywatnej kompanii. Ta kompania rozprzedaje rodzinom na wieczne czasy, większą lub mniejszą przestrzeń; zajmuje się sama utrzymywaniem grobów.

Ogromny to cmentarz, przez półtory godziny krążymy po nim powozem, a jednak wiele jeszcze pozostało nam do widzenia. Nic tu nie przypomina europejskich cmentarzy, najwłaściwiej nazwać go można parkiem. Tu jak w centralnym parku, rozrzucone pagórki, gdzieniegdzie wyrasta z ziemi skała, w niższych miejscach urządzone stawy. W pośród tego, ciągną się szerokie, wysypane piaskiem aleje. Pełno tu drzew, nie tych żałobnych drzew jak cyprysy lub tuje, ale pięknych z rozłożystemi konary. Zwróciły szczególniej uwagę naszą dwa klony, jeden z liściem żółtym, drugi z czerwonym, wiele też tu gatunków nieznanych w Europie.

Pole umarłych wcale nie smutne, nie wywołuje żałobnych wspomnień. Kompania wywiązuje się sumiennie z obowiązku, nie dostrzedz nigdzie mchu ani pleśni. Aleje i trawniki utrzymywane starannie, ledwie że suchy liść spadnie z drzewa, natychmiast wymieciony. Żaden park angielski przyzwoiciej się nie przedstawia. Czuć jednak, że wszystko czyni tu płatna ręka, że rodzina składa na administracyą obowiązek czci dla umarłych. Brak tu owych pobożnych świadectw, które łączą żywe i zmarłe pokolenia i dają dowód niewygasłej pamięci. Nie ma wcale kwiatów na grobach, ani tych koron, z naiwnym częstokroć ale pełnym uczucia napisem. Umarli prawdziwie tu samotni.

Dziś drugi Listopada, dzień wyłącznie im poświęcony. Jakież to tłumy na paryzkich cmentarzach. Prawda że protestanci nie obchodzą dnia zadusznego. Gdyby przynajmniej od czasu do czasu odwiedzali swoich umarłych. Wątpię aby tak było, życie amerykańskie tak czynne, tak zajęte. Brak czasu myśleć o tych, co już ustąpili z widowni. W ciągu przejażdżki naszej spotkaliśmy ledwie parę powozów, nie dojrzeć nigdzie wdowy ani dziecka w żałobie.

Czem jednak cmentarz w Brooklin przypomina cmentarz europejski, oto dowodami próżności. Demokracya nie przeistoczy natury ludzkiej, ktokolwiek wzbił się nad drugich, stanowiskiem albo majątkiem, nie chciałby i po śmierci łączyć się z tłumem bliźnich. Biją tu w oczy pylony Egipskie, świątynie greckie wsparte na korynckich lub doryckich kolumnach, pomniki gotyckie, piramidy i obeliski, urny, posągi, popiersia i t. p., nasz stangret zatrzymuje się co chwila, ukazuje nam grobowce milionowych krezusów. Niestety imiona te nie wiele do nas mówią.

Wjeżdżamy na najwyższy wzgórek, tu zbudowano pamiątkowy monument na cześć ofiar ostatniej wojny. Widok ztąd cudnie piękny, błękit nieba najdrobniejszą nie przyćmiony chmurką. U stóp naszych rozpościera się Brooklyn, dalej Nowy-York, w głębi Jersey, malownicze wzgórza nad Hudsonem zamykają widnokrąg, na lewo ciągnie się zatoka nowoyorska, zasiana wysepkami, błyszcząca w słońcu południowem. Kilkanaście parowców bucha kłębami dymu, wokoło ruch i życie. Jakaż to sprzeczność z poważną nekropolią, gdzie tysiące umarłych spoczywa snem cichym i nieprzespanym.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WYSTAWA STAROŻYTNOŚCI
W HOTELU EUROPEJSKIM.

Jeżeli cię czytelniku zmęczyło życie, jeżeli twarda walka z rzeczywistością smutkiem pokryła ci czoło, chodź i sprobuj za moim przykładem pobłąkać się trochę, wśród zabytków przeszłości nagromadzonych na wystawie, a widok ich, każe ci zapomnieć na chwilę przynajmniej, o przykrej, lecz nieuniknionej prozie spraw codziennych. Nie wiem, czy jesteś zachowawcą podnoszącym do apoteozy, wszystko co przeszłość przypomina, konserwatystą, czczącym fajkę po nieboszczyku dziadku, lub postępowcem, który śmieszne te rupiecie, chciałby w proch obrócić, ale to wiem, że jeżeli masz iskierkę poczucia artystycznego w duszy, natenczas pod wpływem piękna estetycznego niejedną miłą spędzisz tu godzinę. Co więcej nawet, porwany zapałem, oczarowany tchnieniem poezyi, unoszącem się dokoła starożytnych zabytków, zapomnisz, że to tylko puste cmentarzysko i własną ożywiwszy je wyobraźnią, wskrzesisz myślą umarłych, by salony te fantastycznemi zapełnić postaciami.

A nie będą to bynajmniej marsowi w kontuszach wojownicy. Nie, od zamierzchłych czasów Słowianina, w skórę zwierzęcą przybranego, który tu przyjdzie zabrać naramienniki swe, kolce i inne pierwotne przedmioty wystawione wśród wykopalisk, ujrzymy całą galeryę typów z różnych epok i różnych narodowości, czasy zaś francuzkich Ludwików pierwszego cesarstwa najobficiej podobno będą reprezentowane. W stylowych gabinetach, urządzonych w pierwszym, najwspanialszym salonie, zasiądą prześliczne markizy, wykwintni zaś dworacy, pokażą nam, jak wśród tych pięknych, bogatych cacek, zachowywali się ludzie na puchach i jedwabiach chowani.

Że wystawa jest na wskroś kosmopolityczną to wynik nieunikniony, własnych bowiem zabytków sztuki nie posiadamy niestety, dlaczego jednak tak mało w ogóle polskich widzimy tu pamiątek, na to odpowiedzieć już trudno. Pierwsza sala nie posiada ich wcale. Podzielona na kilka wykwintnych buduarów, mieści w sobie przeważnie bogate meble, zegary, bronzy, świeczniki, lustra, pianina (griff z czasów Napoleona) i wszystko jednem słowem, co może służyć do dokładnego zobrazowania epoki Ludwika XV, XVI i Cesarstwa. Na szczególne wyróżnienie zasługują tu przepyszne bronzami zdobne szafy, biureczka, skrzynie, stoły i stoliki; dalej parawan oraz białe krzesła obite białą również w złote wyciski skórą. Powszechną także

uwagę zwraca skrzynka o szklanych ścianach; umieszczone nad wiekiem złociste berło i korona, wskazują, iż przeznaczona była na insygnia królewskie.

Dać wreszcie pojęcie o skarbach tu nagromadzonych, byłoby istnem w króciutkiem sprawozdaniu niepodobieństwem. Wszak mozolnie i długo układany katalog, zaledwo zdołał je rozgatunkować i pomieścić; a jednak zdaje nam się, iż nie spotykamy wielu bardzo cennych okazów, wystawionych przed parą laty w pałacu Brühlowskim. Czyżby Anglicy i Niemcy zabrali nam już takowe? Ale nie, bo przypominamy tam sobie nazwiska magnackie, które sprzedawać nie potrzebują, a jednak, dziś ich tu nie ma; nie chciały więc widocznie pamiątek swych powtórnie na widok publiczny pokazywać.

Wracając do obecnej wystawy, uderza nas przedewszystkiem bogactwo mebli i obrazów, które kilka zajmują pokoi. Od nieznanych dotąd ogółowi, zamaszystych rysunków Orłowskiego, spotykamy tu okazy najpierwszych mistrzów: Grenze, Teniers, Rubens, Rembrandt i wielu, wielu innych, stanęli do apelu, aby nam pokazać wybitnie różnicę jaka istnieje między subtelnym, delikatnym pędzlem takiego twórcy cudownych główek kobiecych, jak Grenze, a energicznym kolorytem i rysunkiem utworów szkoły holandzkiej.

Przeglądając bacznie tę liczną dosyć galeryę starożytnych obrazów, spotykamy wśród nich ze zdumieniem, sceny takim tchnące nieraz realizmem, iż dzisiejszy malarz tworząc je, byłby oskarżony o obniżenie poziomu sztuki, przez wybieranie do zbyt rażących pospolitością swą tematów: ówcześnie jednak, ludzie w malarstwie i literaturze zdejmowali często rękawiczki aby nazwać *lechat, unchat, et Rollet un fripon.*

Z portretów nas bliżej obchodzących, razi martwotą pędzla i odpychającym wyrazem wielki w stojącej postawie obraz króla Zygmunta. Dalej przechodząc do narodowych pamiątek, spotykamy prześlicznie rzeźbiony ołtarzyk polowy Jana III z pod Wiednia. Patrząc na cacko to, przed którem bohater chrześciaństwa modlił się o przewagę nad półksiężycem, ma się ochotę zapleść dłonie i odmienną wyszeptać prośbę.

W łączności pewnej z ołtarzykiem, zostają polskie zbroje, nader skąpo reprezentowane. Towarzysz pancerny, siedzący na rumaku przez mole w części zjedzonym, rozweselające czyni wrażenie. Spłowiałe, atłasowe dolne ubranie dobrze pasują do woskowej twarzyczki manekina, czy w boju jednak wygodne byłyby i czy takie używano na konia, pozwalamy sobie wątpić poniekąd. Prócz tej rycerskiej, skromnie do kotary przytulonej postaci, rynsztunków i zbroic starych wcale prawie nie widzimy. Parę tarczy, parę szyszaków, oto wszystko.

Najwięcej też zaciekawia szabla o futerale i klindze bogato wysadzanej koralami, oraz sztylet wystawiony przez słynnego autora „Potopu", który okazy te przywiózł z niedawnej wycieczki po Wschodzie. Zarówno wielkość korali, jak liczba ich, pociągają tu oczy nietylko męzkie, ale i niewieście, które wśród klejnotów spotykanych na wystawie, lubują się jeszcze wspaniałym brylantem, pochodzącym podobno ze zbiorów królowej Maryi-Antoniny. Jeżeli taki brak pamiątek rycerskich (należy wyróżnić buławę hetmana Zamojskiego), smutne czyni wrażenie, tam gdzie przeszłość najwięcejby ich nagromadzić była powinna, to w zamian, jako znamię czasu, jako rys charakteru narodowego służyć mogą bogate zbiory materyi i koronek, makaty, gobeliny i złotogłowie.

Nie braknie tu nic w tym kierunku, od poważnych stroi kościelnych, aż do pajęczych tkanek i sukni różowej, *à la Vattau*, z czasów koronacyi Stanisława Augusta. Przybrana srebrnemi ozdobami, jest dziś tak świeża, iż w tej chwili wziąć by ją można. Koronki nawet nie poczerniały, snać srebro ówczesne o wiele lepsze było. Wartość jego do wysokiego posuniętą artyzmu, przedstawiają jeszcze olbrzymiej ceny, artystycznie cyzelowane srebra hr. Ludwika Krasińskiego.

W zakresie porcelany i ceramiki największą zwracają uwagę, talerze alegorycznie malowane, (*vieux Lincoge)* własność hr. Tomasza Zamojskiego. Wogóle rody magnackie i takie bogate zbiory jak p. Kotasińskiego najwięcej tu dostarczyły okazów. Domy prywatne przesłały za to mnóstwo drobiazgów rozmieszczonych po szafach i gablotkach. Klejnoty te, rzeźby, miniatury, pamiątki rodzinne i historyczne, nie stanowiąc głównej wartości wystawy, uzupełniają ją jednak, nadając plastykę i pewne zaokrąglenie całości.

Wyliczać cennych tych skarbów miejsca by nie starczyło, dla dokładności więc tylko wspominamy bogate zbiory starych koronek brabanckich, weneckich i t. d., których mnogość zebrała się taka, iż cały prawie zajmują salonik. Widzimy tu wolanty, chusteczki do nosa, szale, parasoliki nawet, a wszystko zdumiewa pajęczą delikatnością i czystością deseniu, nie spotykaną nigdy w fabrycznych wyrobach. Opuszczając dział ten, najmniej może ciekawy, wracamy, aby raz jeszcze rzucić okiem na arcydzieła pędzla, aby obejrzawszy godła wolnomularskie pana Kościa i olbrzymiej podobno wartości chińskie wazony, pożegnać ten zaimprowizowany przybytek okazów sztuki, które ludzie dobrej woli, potrafili w imię miłosierdzia zgromadzić, jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej ze wszystkich zakątków kraju.

An. Krz.

Kartka z tygodnia.

Smutny wyraz hołdu, jaki kraj spieszy składać u mogiły tego, który go nad wszystko ukochał. Nie talent pisarski, nie płodność ś. p. Kraszewskiego bajeczna, a miłość ta, bijąca z każdego słowa autora-tytana, potrafiła mu tak gorąco zjednać serca ogółu, wywołując oznaki żalu nad poniesioną stratą nietylko w siedliskach życia i oświaty, ale nawet w najdrobniejszych mieścinach. Wszędzie też brzmią dzwony żałobne. Smutny obrzęd pogrzebu zapowiedziany na połowę Kwietnia w Krakowie. Wprawdzie rada miejska podwawelskiego grodu, chcąc poprzeć z góry idący system oszczędności, ogłosiła, iż po przywiezieniu zwłok do Krakowa, takowe zostaną kosztem miasta pochowane, lecz ogólne ztąd niezadowolenie, każą jej zapewne cofnąć tę decyzyą, pamiętając, że człowiek, który tyle zrobił dla ojczyzny, ma prawo aby ona przy oddaniu mu czci należnej, nie liczyła się z groszakami.

Zmarły był olbrzymem przerastającym zwykłą miarę, Włochy wypowiedziały już swe współczucie pełną zapału mową Begey'a, Czechy zaś, pomimo wewnętrznego rozstroju, jaki panuje u nich w tej chwili, pomne pobratymczych węzłów, projektują wysłanie osobnej deputacyi na pogrzeb do Krakowa.

W ogóle Czechy dość dużo czerpią obecnie z naszej skarbnicy umysłowej, a jeżeli nam nie obce są imiona Zeyera, Vrchlickiego, Jelinka i wielu innych, to wzamian i oni przyswajają sobie ciągle dzieła naszego ducha. Do wielkich poetów i kompozytorów dodają nawet dziedzinę legend, a wystawiony w tej chwili w pragskim *Narodnim Divadle* balet „Pan Twardowski", wielkiem cieszy się powodzeniem. Na mniejsze za to może liczyć wystawa przemysłu czeskiego, projektowana u nas, w Warszawie. Wszak swoich mamy tyle, iż stylowo-dekoracyjną, urządzaną ze znacznym nakładem w teatrzyku Nowy-Świat, inicyatorowie odłożyli do Października, nie chcąc stawać do konkurencyi z wielką wystawą hygieniczną na placu Ujazdowskim, która imponująco zdaje się zapowiadać. Uczyniono wszystko, co tylko staranna zapobiegliwość i umiejętne kierownictwo mogły zrobić, by jej zapewnić świetne powodzenie i wpływ w danym kierunku. O ile starania te, pomyślnym zostaną uwieńczone skutkiem, przekona nas finansowy rezultat ekspozycyi i mniéj lub więcéj pochlebny głos publiczności.

— Co też to pan dobrodziej mówi, — przerywa mi ktoś z boku—wszak Głosnie może mieć pretensyi do wyrokowania, odkąd zbankrutowawszy został puszczony na licytacyę.

— Ależ, łaskawco, nie mięszaj z sobą rzeczy sprzecznych — poprawiam szybko. Sprzedawano wprawdzie w tym tygodniu *Głos* za rubli 209, ale nie ogółu, nie publiczny a demokratyczny, co tydzień wychodzący, w tem istnieje znakomita różnica.

— Ach, rozumiem, demokratyczny, i dlatego taki tani,—209 rs. w gotówce. patrzcie państwo, warto sobie było zrobić tę uciechę i za 209 rs. mieć „Głos" demokratyczny w kieszeni! a uczyniłbym go wtedy przystępniejszym dla tych biedaków, którzy za pośrednictwem „Gazety Polskiej", w ten sposób do opiekującej się nimi prasy przemawiają:

„Prośba moja,—powiada ów korespondent włościanin — do naszych starszych braci, do Pana i wszyćkich panów, co sie o nas staraju, taka jest, co by panowie byli zgodne, bo gromada łacni sie domiarkuje za co sie jońć, żeby panowie na ten przykład jako zmyślili co nasze bidy ze dworem godzić, a ludzki złości niwkiem nie obruszyć."

Dalej nie przecząc, iż szlachta ciężko nieraz krzywdziła chłopów, podnosi jednak, że gdzieindziej gorzej jeszcze bywało, a wyliczając dobrodziejstwa i nie zapomniawszy o tych, co „przed oczynszunkiem rzondowem chłopom majontki podarowali", raz jeszcze błaga panów z miasta, „którzy som jak siredni brat, co jak wyrus, to Pan Bóg mu dał i serce i rozum piekny," aby przez zbytnie umiłowanie najmłodszego i „przez gniw i pomste za grzychy najstarszego" nie siali niezgody w rodzinie, bo tylko jednością stać ona może."

Czy ma racyą, to niech odpowie nowa, żadnemi już względami niekrępowana redakcya „Głosu," której na dobrych chęciach i szlachetnych dążeniach nie zbywa zapewne.

Nowym jej, na innem polu objawem, jest projekt założenia kilku przytułków dla obłąkanych, na prowincyi. Liczby statystyczne, wykazują wiel-

ką ilość nieszczęśliwych tych, pozbawionych wszelkiej specyalnéj opieki. Uwzględniając też, iż znaczna ich część nie ma na wyjazd zagranicę, a u nas brak zupełny podobnych zakładów, grono młodych lekarzy postanowiło wznieść domy zdrowia dla chorych umysłowo, w Hrubieszowskiem, Opatowskiem i Sieradzkiem.

Przechodząc od obłąkanych wprost do klubu wioślarek, z góry zastrzegam, iż nie robię tego w złej myśli nie jest to broń Boże, złośliwa instytucya, a prosty zbieg kronikarskich notatek. Przeciwnie, znajduje, iż klub ten, niewinną, a hygieniczną zapewniający rozrywkę, może pięknym naszym motylkom przedstawiać o wiele stosowniejsze zabicie zbywającego od zajęć czasu, nad wieczyste po Nowym-Świecie i Krakowskiem-Przedmieściu wędrówki. Wobec jednak organizującego się na seryo kółka „Lutnistek," czy nie lepiéj byłoby połączyć oba kluby? Stowarzyszone, mogłyby używać improwizowanéj kąpieli w Wiśle, po bohatersku, z pieśnią na ustach, współzawodnicząc tem lepiej z męzkimi przedstawicielami wodnego sportu, oraz z niegrzecznymi Lutnistami, którzy wyłączywszy stanowczo płeć piękną, potrafili koncertem z samych czarnych fraków złożonym, sympatyczne zjednać sobie oklaski.

Kr.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Upłyniony tydzień przedświąteczny, w Warszawie, jak zwykle pełnym był ruchu wyróżniającego go z pomiędzy innych. Początkowe dnie poświęcone zajęciom domowym i urządzaniu święconéj zastawy, poruszyły wszystkie gosposie stołecznego grodu; końcowe zaś oddano pobożności, która szczególnie uroczystą szatą przyobleka całe miasto z otwartemi wszystkiemi jego świątyniami.

Tłumy ludu snuły się po ulicach Warszawy, modlitwa na wszystkich widniała ustach, wszędzie brzmiały religijne pienia, a rozmyślanie męki Chrystusa jakby kirem żałoby unosiło się po nad gronami pobożnych, w skupieniu ducha przy grobach zalegających świątynie.

Dziś, gdy to czytać będziecie, na całym obszarze chrześciaństwa, w najtajniejszych jego zakątkach, rozbrzmiewać będzie jedna pieśń tryumfu prawdy nad fałszem, pieśń pokoju i miłości bratniej, ludzkość całą zmieniająca, jakby w jedno rodzinne grono.

Niechże brzmi jak najharmonijnym dźwiękiem i osnuwa serca ludzi jednem uczuciem, jednem pragnieniem i jedną radością... tryumfu sprawiedliwości.

W końcu zeszłego miesiąca, odprawione zostało na Jasnej-Górze w kościele częstochowskim uroczyste nabożeństwo za duszę ś. p. J. I. Kraszewskiego. Po nabożeństwie duchowieństwo, otoczywszy, katafalk, odśpiewało hymn *„Libera me, Domine"*, a na zakończenie muzyka odegrała marsza żałobnego. Jak wiadomo, Kraszewski za „Kordeckiego" otrzymał od ks. Paulinów częstochowskich przywilej, zapewniający mu udział w łaskach, jakie spływają na zgromadzenie. Było to podczas bytności jego na Jasnej-Górze w okresie żytomierskim. O fakcie tym, Kraszewski pisze do swego brata, Kajetana: „Powiedz mamie, że od ks. Paulinów częstochowskich, odebrałem za „Kordeckiego" rodzaj przywileju dla mnie, żony i dzieci, którym przypuszczeni jesteśmy do łask, jakie zakon pauliński ma u Boga i zaskarbia codzień; mamy kątek w ich modlitwach za żywych, a po śmierci za umarłych!... Przyznam ci się, że ten patent na różowym jedwabiu do łez mnie ucieszył i serdecznie był miły... Przypadek chciał, żem to odebrał w sam dzień Św. Józefa...

Słusznie więc kościół jasnogórski postanowił uczcić pamięć zmarłego i uczcił ją godnie. W tych dniach odbyć się ma jeszcze nabożeństwo żałobne w kościele parafialnym, a świątynia będzie odpowiednio udekorowana. Wychodząca w Częstochowie *Kartka Ogłoszeń*, rzuca myśl godną poparcia. Chodzi mianowicie o umieszczenie tablicy w kościele jasnogórskim, na pamiątkę pobytu zmarłego w Częstochowie.

Zwłoki ś. p. Jubilata już przywieziono do Krakowa.

Zabawa postna, zwana rautem, na dochód Towarzystwa Ś-go Wincentego a Paulo, sprowadziła liczne tłumy do sali ratuszowej. Najważniejszą i najwięcéj zajmującą jej częścią były obrazy z żywych osób, rozpoczęte wielce miłemi Wiankami.

Piękne, hoże dziewoje w starodawnych swojskich strojach, ślicznie wyglądały i całość tworzyła miluchny i wdzięczny obrazek. Szczególnie uroczo przedstawiała się piękna narzeczona...

Drugi obraz przedstawiał „Wieczornice". Zebrane w chacie przy ognisku dziewczęta słuchają z natężeniem czarownej jakiejś baśni, wygłaszanej przez piękną rówieśniczkę.

Trzeci obraz przedstawiał starosłowiańskie „Wesele".

W wdzięcznej grupie klęczą oblubieńcy, błogosławieni przez sędziwego starca, wokoło nich garną się druchny, drużbowie, lirnik, gęślarze i t. p.

Wszystkie trzy śliczne te sielanki układu p. L. Szpadkowskiego, odznaczały się wielkiem życiem, naturalnością i swojskim wdziękiem. To też zyskały sobie ogólne i zasłużone uznanie, objawiające się frenetycznemi oklaskami, które spowodowały trzy i czerokrotne nawet powtórzenie tego samego obrazu.

Po chwilowej pauzie nastąpiła druga część widowiska, w której jako pierwszy obraz ukazał się „Kupiec wschodni," drugim był „Mozart na dworze Maryi Teresy," a trzeci „Dwór włoski w XVI stuleciu".

Lutnia warszawska, czyli Towarzystwo chóru spiewaków, ogłosiło konkurs na napisanie hasła na chór męzki bez akompaniamentu, dając do wyboru czterowiersz Mickiewicza:

„O pieśni gminna! Ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty!"

(wydanie Gruszeckiego — Warszawa, 1885 — tom II, str. 193),

albo Kochanowskiego:

„Lutnia wódz tańców i pieśni uczonych,
Lutnia ochłoda myśli utrapionych,
Ta serca miękczy swym głosem przyjemnym
Bogom podziemnym."

Termin ostateczny nadsyłania partyturek wraz z pojedyńczo rozpisanemi głosami, upływa z dniem 15 maja r. b. Nagrodę za najlepszy utwór, stanowić będzie pięć dukatów w złocie. Rękopisy zgodnie ze zwykłymi warunkami konkursu, nadsyłane być winny pod adresem: Księgarnia pp. Gebethnera i Wolffa, Warszawa; (dla „Lutni").

Myśl prześliczna i temat przewybornie obmyślony wraz z nagrodą tak harmonijnie odpowiadającą zadaniu. Podobno członkowie Lutni zamierzają w lecie zrobić wycieczkę zbiorową i wystąpić publicznie w większych miastach prowincyonalnych. Myśl to dobra, w wykonaniu i miła i pożyteczna, ale czy nie zawcześnie cokolwiek podjęta? Z drobnemi piosnkami popisywać się niewarto, większe może jeszcze należycie nie wystudyowane bo to nie małego wymaga czasu, a popis byle z czem i nie jak należy poprowadzony, może wywywołać wrażenie bardzo niepożądane. Oklaski odbierane przez *Lutnią* na dwóch koncertach w Warszawie, niech w wartości swej zbyt nie będą przeceniane. Znaczyły one więcej zadowolenie publiczności, iż wreszcie doszliśmy do instytucyi tak dawno upragnionej, niż uznanie doskonałości wykonania. Pragnieniu jednak zbierania laurów przedwczesnych, do jakich dochodzi się bardzo wolno i to po trudach niemałej pracy, nie dziwimy się zupełnie. Jest ono znamieniem czasu w którym co się dziś rodzi zaraz na dzień drugi chodzi a trzeciego dnia gniewa się na brak sławy, oklasków i wora pełnego złota.

Lutnia żeńska na wzór męzkiej, mająca być zawiązana, już dała się słyszéć w zbiorowem wystąpieniu na koncercie danym na korzyść rodziny po zmarłym muzyku E. Kani pozostałej. Popis ten bardzo się spodobał, śpiewaczki oklaskiwano i w wykonaniu przyznano staranność w niczem męzkiej Lutni nieustępującą.

Oprócz Lutni, grono amatorek wiosłowania nie przestaje myśléć o utworzeniu „klubu wioślarek".

Niedawno odbyło się posiedzenie kilkunastu zwolenniczek sportu wodnego i na sesyi tej ułożony został projekt ustawy, który po przepisaniu i przetłomaczeniu będzie przesłany do zatwierdzenia władzy.

O ile nam wiadomo, wioślarki posiadają kapitał, wynoszący około 3,000 rs., co im pozwoli założyć własną przystań i sprowadzić łodzie rasowe.

W zabiegu o podniesienie przemysłu krajowego, godne uwagi ukazanie się w handlach spożywczych wina owocowego w miejscu wyrabianego. Powiadają, że fabrykat ten znalazł uznanie, jakżeby to było dobrze, aby rozwinął się jak najlepiej i odpowiednio upowszechnił.

O plantacyach herbaty donoszą pisma, że mają być założone na Kaukazie przez ziomka naszego, który długo bawiąc w Chinach i obznajmiwszy się należycie z uprawą tej drogocennej rośliny, stanął na czele przedsiębiorstwa.

Handel także włosami ludzkiemi rozwinął się u nas zupełnie niepostrzeżenie i to na wywóz za granicę. W tych dniach pewien ajent jednego z większych

zakładów fryzyerskich w Paryżu, wysłał z Warszawy transport włosów, wartości około 4000 rs.

Ajent ma liczną falangę subajentów w różnych stronach kraju, a ci skupują po wsiach i miasteczkach warkocze i kosy, najczęściej za bezcen.

Zysk z nowego tego materyału handlowego musi być niemały, skoro i złodzieje wzrok na niego łakomy zwrócili.

Jedna z panien znana w Redakcyi naszej a posiadająca prześliczny warkocz, spadający jej aż do bioder prawie, zeszłej jesieni przechodząc wieczorną porą od ulicy Niecałej ku Bielańskiej, nagle uczuła niezwykłą lekkość z tyłu głowy. Sięgnęła więc ręką i przerażona uczuła brak warkocza uciętego z niezmierną zręcznością przy samej głowie.

Handel jajami na wywóz do Hamburga, wzmaga się także. Partye dzienne odchodzącego tego towaru, dosięgają kilkunastu tysięcy rubli. Zbierane w całym kraju, wszędzie wpływają na zwiększenie miejscowych cen. Obrot roczny w tym kierunku w naszym kraju wynosi przeszło milion rubli.

Zięć jednego z bankierów był blizkim bankructwa. Kochany teść dowiedziawszy się o tem tak sobie rozumował:

— Jeżeli nie zapłacę za zięcia należytości, to zginie jak ruda mysz w pułapce: jeżeli zapłacę, to mi pieniądze przepadną jak Szwed w Kampinowskiej puszczy. Zięcia w każdym razie dostać mogę innego, pieniędzy już nigdy nie odzyskam, stanowczo zatem... nie płacę...

* * *

Nauczyciel w szkole ludowej, wysławiając niepojętą mądrość Boga rozlaną w całym świecie, rzekł w końcu:

— Nie będę wam przytaczać więcej dowodów na poparcie słów moich, bo że słońce w dzień świeci to nic, bo w dzień, ale księżyc w nocy przyświeca rojem gwiazd otoczony także świecących, to dopiero rzecz niepojęta.

Czy słuchacze zdanie to podzielili niewiadomo, ale że długo o tem mówiono i uśmiechano się, to ciekawych możemy zapewnić, rzecz bowiem cała jest jak najprawdziwszą.

* * *

Drobnostka.

Przed komisarzem policyi w Chicago stanął Europejczyk, który podczas wypadku kolejowego złamał sobie kilka żeber i wniósł z tego powodu skargę o wynagrodzenie szkód i strat.

— Co! — zawołał oburzony komisarz — o taką drobnostkę chcesz pan wnosić skargę? Niedawno mieliśmy tu 32 zabitych i żadnemu z nich nie wpadło na myśl oskarżyć zarząd kolei.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Czesławowi Kiełkowi. W wierszykach nadesłanych co do formy, to ta dosyć poprawna, ale w treści są pewne niestosowności. Przedewszystkiem należy pamiętać, że Przyjaciel Dzieci ma stanowić przyjemne i pożyteczne czytanie i o ile można bawiące młodych swych czytelników. Wszystkie zatem zbyt poważne czy artykuły czy wierszyki są dla niego niewłaściwe. Z tego powodu, tak jak Autor przewidywał, w pierwszym wierszyku dodatek musiał być wyrzucony.

W drugim, *Rozpacz ptaszka,* za wiele rymów na słowa i nie ma wyraźnie oznaczonego celu do jakiego zmierza.

Trzeci wreszcie nieodpowiada tytułowi, bo z dedykacyą nie ma żadnej styczności, sam zaś zbyt jest tajemniczym, i mógłby być zakwestyonowanym.

Pani Helenie I. w Niszówce. Tak jak we wszechświecie wszystko w ciągłym jest ruchu i pędzi w nieskończoność po drodze przez Boga mu wytkniętej, tak i umysł ludzi jako z woli Stwórcy swego obdarzony rozumem i ciekawością, w badaniach wszystkiego czego nie zna, ciągle winien szperać, badać i dochodzić dalej i dalej i na chwilę w pracy tej nie ustawać. Hypnotyzm jest jedną z sił świeżo poznanych, i dopiero badanych przez towarzystwa uczonych umyślnie w Londynie i w Paryżu zawiązanych, dla dojścia jego natury. Jest więc przedmiotem wielce zajmującym wszystkich poważniej sprawy Boże rozważających, czego nikt nie zaprzeczy. Podawanie zatem wiadomości przez ciała naukowe ogłaszanych o wypadkach z ich badań wynikających, jest koniecznem w peryodycznej literaturze. Nie idąc bowiem z prądem czaru i opierając się jego rwącej potędze, człowiek niejako buntuje się przeciw Wyższej Woli i wśród żywych zostaje... trupem.

Numer zagubiony wysłano, należy się za niego kop. 15.

Pani Zarzowskiej w Powołoczy. Przekręcanie nazwisk wynika jedynie z adresów niewyraźnie wypisanych. Co do marek posiadanie ich w znacznej ilości może przynieść pewną korzyść. Pani G. posiada już ich kilkadziesiąt tysięcy i ciągle je zbiera skrzętnie aby je jako osoba bardzo biedna, sprzedać w Wiedniu, gdzie jej to zrobić przyrzeczono. Korzyść z tego otrzyma niewielką, bo zbiory podobne w małej liczbie wartości prawie żadnej nie mają.

OD REDAKCYI.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądania zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26 nowy.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Марта 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).



N. 1. Suknia z marszczonym stanikiem. Krój i plecy na arkuszu N. XXI, fig. 74—76.



N. 2. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 57.

Opis do N-ru 15.

(Dokończenie).

N. 22. Koszula z karczkiem szydełkowym. Patrz r. 13—15 w N-rze 14. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 65—67.

Podług fig. 65 kraje się przednią i tylną połowę stanu z cienkiego płótna; gorny brzeg tylnej połowy stanu jest środkiem przymarszczony na 14 cent. podług długości karczka, zaś brzeg przedniej połowy przymarszczony od dwukropka do gwiazdki a środkiem pozostaje gładko. Karczek i rękawki odrobione są szydełkiem z tasiemeczką koronkową z pikotami, podług ryc. 13 — 15 w N-rze 14.



N. 3. Krzyżyk do zawieszenia w kołysce.

N. 25—26. Koszula nocna. Rękaw patrz rycine 6—7 w N-rze 14. Krój na arkuszu N. IV, figury 23—26.

Przody koszuli na długość rozporka, założone są w trzy wązkie kontrafałdy, tylna połowa stanu na długość 26 cent. zaszyta jest w trzy szerokie kontrafałdy; pasek przy wykroju szyi jest z tyłu $2^1/_2$, z przodu 1 cent. szeroki; kołnierz wykładany z podwójnego płótna, oszyty falbaneczką z koronką. Wzdłuż rozporka dane dwa rzędy falbanki $2^1/_2$ cent. szerokiej, przystębnowanej pliseczką. Rycina 17 w N-rze 14 przedstawia rozmaite wzory wyszycia ściegiem luźnym, cierniowym, stębnówką i supełkami, do przyozdobienia zakładek lub odstępów między fałdami z przodu, przy kołnierzyku i na pasku od rękawów.



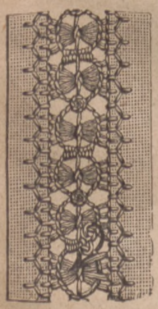
N. 6. Szkatułka rzeźbiona. Patrz ryc. 7 i fig. 81—82.



N. 4. Książeczka ozdobiona malowaniem na skórze. Deseń fig. 84.

N. 27—28. Koszula nocna z podłużnym wykrojem.

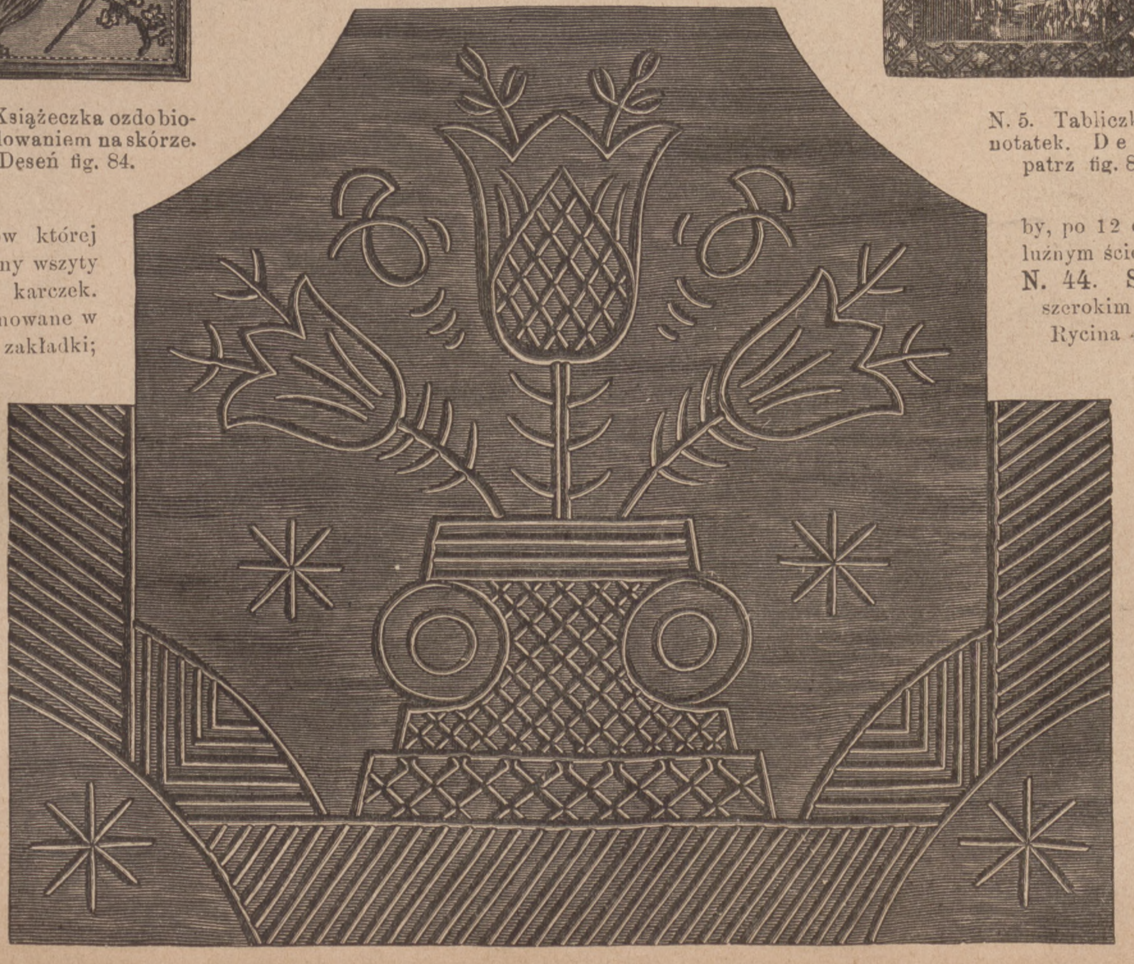
Uszyta z cienkiego szyrtyngu przybrana 6 cent. szerokiem plisowaniem batystowem i 3 c. szeroką koronką. Tylna połowa stanu jest w środku założona w kontrafałdę, z boków której dane wązkie zakładki; brzeg górny wszyty w podwójny karczek. Przody przestębnowane w górze w krótkie zakładki; środkiem szeroka zakłada przy rozporku.



N. 8. Wszywka z kratki ażurowej, do ryc. 18.

N. 29. Spódnica batystowa.

Przedni bryt 50 cent. i tylny 60 c. szeroki, zaszyte są na 72 c. wzdłuż w zakładki 1 cent. szerokie, od dołu na 8 c. wolno puszczone; bryty boczne składają się z trzech pasów wstawki po 6 cent. szerokiej i z pasów batystowych zaszytych w zakładki, 10 cent. szerokich. Do brzegu dolnego zaszytego w trzy zakładki przyszyty jest wolant haftowany, 12 cent. szeroki, na który spada drugi 6 cent. szeroki. Brzeg górny zmarszczony wszyty w pasek 6 cent. szeroki.



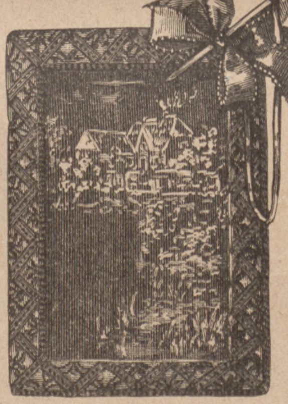
N. 7. Rzeźba w karby do ryc. 6. Deseń patrz fig. 81—82.

N. 30. Kaftanik nocny z zakładkami. Krój na arkuszu N. XII, fig. 50—53.

Najpierw zaszywa się materyał na przody i plecy w wąziutkie zakładki na długość linii cienkiej na fig. 50—51; model był z batystu w paski kropkowane pąsowe i niebieskie, zaszyty po dwie zakładki, w odstępach 1 cent. Prawa połowa przodu żakończona jest wstawką, ogarnirowaną z brzegów koronką; takież przybranie na kołnierzyku 3 cent. szerokim, podwleczone kolorową wstążką, związaną w kokardę. Fig. 52 daje formę rękawa zaszytego w zakładki u góry odpowiednio do wykroju pachy, u dołu do paska 24 cent. długiego.

N. 31. Koszula dzienna z materyi surah. Krój na arkuszu N. VI, fig. 28.

Przednia i tylna połowa stanu kraje się podług fig. 28, dopełniając długość i szerokość podług miar wypisanych; brzeg dolny zaszyty w zakładki i zakończony koronką. Brzeg górny i wykrój pachy ogarnirowany koronką do przewleczenia wstążeczki i szeroką wszywką. Na wcięciu stanu koszula przemarszczona jest wielokrotnie podług ryc. 31.



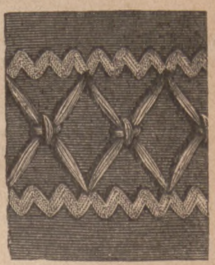
N. 5. Tabliczka do notatek. Deseń patrz fig. 83.

N. 43. Spódnica z falbankami.

Uszyta z pąsowej flanelki, ozdobiona szlaczkiem krzyżykowem wyszytym czarnym kordonkiem; dwie falbanki wycięte w zęby, po 12 cent. szerokie mają rzucik wyszyty luźnym ściegiem.

N. 44. Spódnica z szerokim szlakiem.

Rycina 44 przedstawia spódnicę białą flanelową, z przodu gładką, z tyłu zmarszczoną i wszytą w pasek perkalowy 9 cent. szeroki, u dołu zakończoną obrębem 4 cent. szerokim; rozporek dany z boku. Szeroki szlak dolny stanowi wszywka robiona szydełkiem, w około której dane wyszycie krzyżykowe (z podłożeniem kanwy wysiepanej następnie) z pąsowym kordonkiem.



N. 9 Szlaczek do fartuszka ryc. 49.

N. 45—46. Sukieneczka z długim stanikiem, dla dziecka lat 3—5.

Odpowiednia dla dziewczynki lub chłopczyka, ma długi staniczek z kaftanikowemi przodami, otwartemi na kamizelce z materyi surah; plecy założone w sześć fałd schodzących się do środka; z boków dodane klapki kieszeniowe 20 cent. długie, 10 cent. szerokie, ścięte skośnie do dołu i przyszyte z boku do przodów. Spódniczka przkryta wolantem z przodu zaplisowanym, z tyłu zmarszczonym. Kołnierzyk i mankiety pluszowe; kokardy z wstążki 6 cent. szerokiej; guziki szmuklerskie.

N. 47—48. Płaszczyk z pelerynką dla dziecka lat 2—4. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 68—71.

Zgrabny płaszczyk odrobiony z białego kaszmiru na lekko podwatowanej wełnianej podszewce. Część dolna spódniczkowa 27 cent. długa, 194 obwodu mająca składa się z przodu w dwie, z tyłu w cztery kontrafałdy. Pelerynkę kraje się w jednym ciągu podług ryc. 71 i zszywa na ramionach od 9—10, poczem składa kontrafałdę 6 c. szeroką od krzyżyka do punktu i przyczepia do pleców płaszczyka. Brzegi pelerynki zdobi frendzla z kulek, a na ryc. 47 widzimy rzucik haftowany na całem tle.

N. 49 i 9. Fartuszek do gospodarstwa.













N. 10. Szlafreczek (saut-de-lit) z kapturkiem. Patrz ryc. 4 w N. 14. Krój na arkuszu N. II, fig. 9—13a.

N. 11. Szlafroczek z chusteczkowem przybraniem. Patrz r. 55 tudzież ryc. 5 w N-rze 14. Krój na arkuszu N. IX, fig. 33—34.

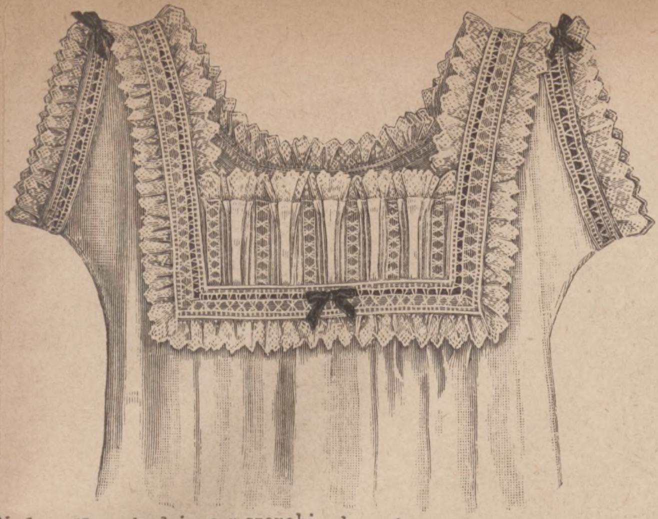
N. 12. Fartuszek dla dziew. lat 3—5. Krój na arkuszu N. XX fig. 73.

N. 13. Sukienka dla dziecka.

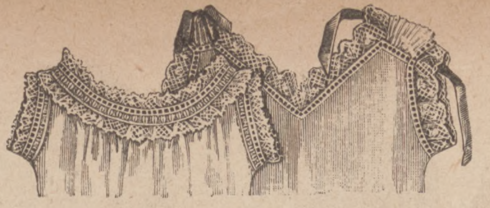
N. 14—15. Szlafroczek z fałdą beduinową. Patrz krój na arkuszu N. VIII, fig. 32.

N. 16. Kaftanik ranny formą bluzy marynarskiej. Krój na ark. N. XI f. 45-49.

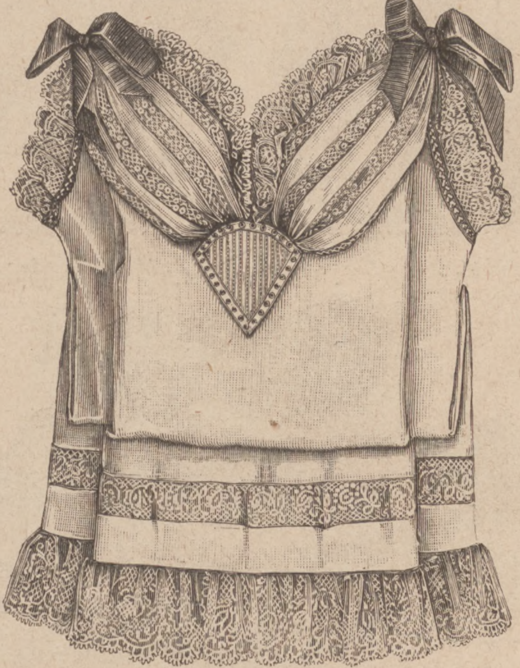
N. 17. Czepeczek z alzacką kokardą.



N. 18. Koszula dzienna z szerokim karczkiem. Patrz r. 8 i 19. Krój na arkuszu N. VII, fig. 29—31.



N. 19. Plecy do r. 18. N. 20. Plecy do r. 21.



N. 21. Koszula dzienna z chusteczkowem przybraniem. Patrz ryc. 20. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 64.



N. 22. Koszula dzienna z szydełkowem karczkiem. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 65—67.



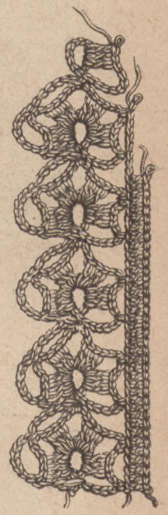
N. 23. Ząbki szydełkowe robione poprzecznie.



N. 25—26. Koszula nocna. Krój na arkuszu N. IV, fig. 23—26.



N. 27—28. Koszula nocna.



N. 24. Koronka szydełkowa robiona poprzecznie



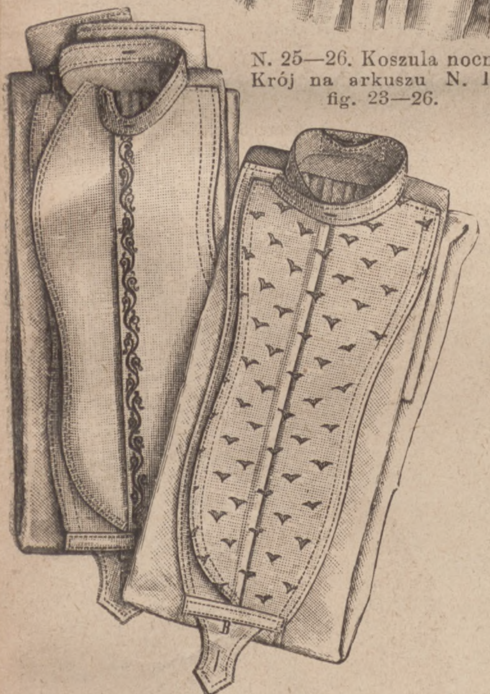
N. 29. Spódniczka batystowa.



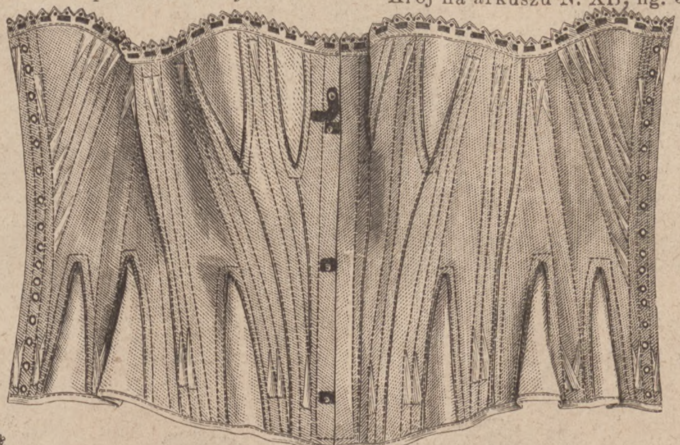
N. 30. Kaftanik nocny w zakładki. Krój na arkuszu N. XII, fig. 50—53.



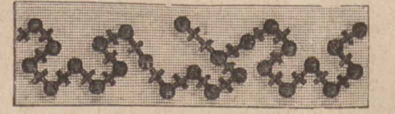
N. 31. Koszula dzienna jedwabna. Krój na arkuszu N. VI, fig. 28.



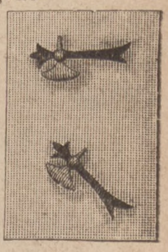
N. 33—34. Koszule dzienne z podwójnym gorsem i kolorowym haftem. Opis i krój na arkuszu N. XIII, fig. 54—60.



N. 32. Gorset. Opis i krój na arkuszu N. III, fig. 14—22.



N. 35. Szlaczek kolorowy do r. 39—40.



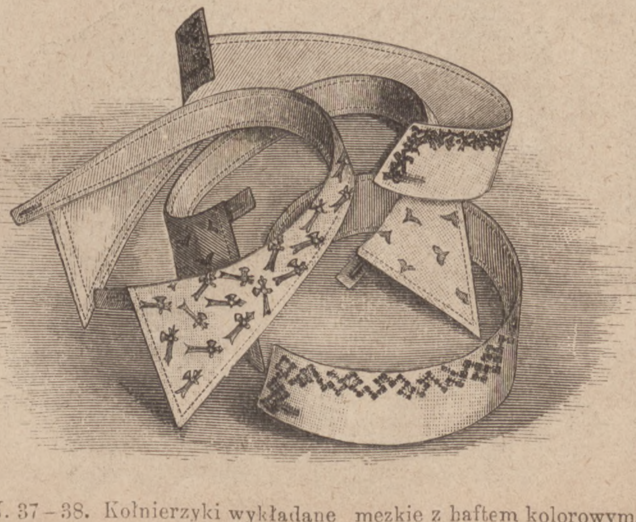
N. 36. Rzucik do ryc. 37.



N. 41. Majtki krótkie. Opis i krój na arkuszu N. V, fig. 27.



N. 42. Tutka aksamitna na chusteczki do nosa.



N. 37—38. Kołnierzyki wykładane męzkie z haftem kolorowym. Patrz ryc. 36. Opis i krój na arkuszu N. XIV, fig. 61—62.
N. 39—40. Kołnierzyki stojące męzkie z kolorowym haftem. Patrz ryc. 35. Opis i krój na arkuszu N. XV, fig. 63.



N. 43. Spódnica z falbankami.
N. 44. Spódnica z szerokim szlakiem.

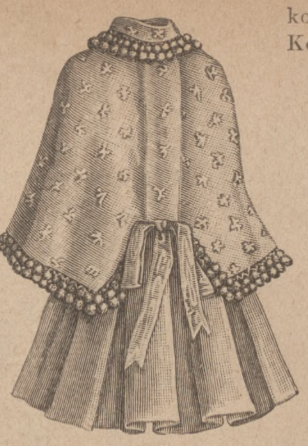
Potrzeba na niego bryta 114 c. szerokiego, 85 długiego, w odstępach 10 c. przestębnowanego w cztery grupy zakładek 1 cent. szerokich, po dwie zwracanych ku sobie. W odstępach naszyte są 6 c. szerokie pasy pąsowego perkalu, ozdobione szlaczkami z białej tasiemeczki w ząbki, spajanej krzyżykami z luźnych ściegów z białej bawełny, podług r. 9. Brzegi fartuszka zakończają ząbki składane z pąsowego perkalu, na każdy potrzeba kwadracika 3 1/2 c. dwa razy składanego w trójkąt.



N. 45. Sukienka z długim stanikiem dla dziecka lat 3—5. Patrz ryc. 46.



N. 46. Plecy do ryc. 45



N. 47. Plecy do ryc. 48.



N. 49. Fartuszek do gospodarstwa. Patrz ryc. 9.
N. 50—52. Koszyczek napełniony taśmami ozdobnemi do wiązania bielizny pranej.

N. 53—54. Szlafrok z podpiętemi plecami. Krój na arkuszu N. XIX, f. 72.

Model był z kiprowanej flanelki w paski białe z pąsowym, przybranej białą krepą wełnianą, pąsowym aksamitem i saską koronką; formę dopasować można podług fig. 72 i podług kroju do ryc. 3 w N-rze 1. Środkiem przodów dany plastron krepowy, przybrany koronką zmarszczony z kawałka 80 cent. szerokiego. Linia kropkowana oznacza brzeg przodów (patrz *a* na fig. 72) podłużnie w górze wycięty, wzdłuż brzegów podszytych 20 cent. szeroką plisą atłasową, a z wierzchu ozdobionych ranwersami aksamitnemi. Karczek aksamitny kraje się podług *d*; podług *c* kraje się bryt tylny w górze zmarszczony, poniżej podpięty podług znaczków. Do karczka dodane są części szalowe kołnierza, wykrajane podług miar wskazanych na części *e*. Rękawy 52 cent. szerokie z krepy i wszywki koronkowej, wszyte są u dołu w pasek aksamitny 7 cent. szeroki; kołnierzyk stojący 5 cent. szeroki; kokardy z wstążki 8 cent. szerokiej.

N. 58. Żabot z koronkowym kołnierzem.

Prosta część żabotu i kołnierzyk stojący zaplisowane są z muślinu indyjskiego; koronkowy płasko leżący kołnierz w około wykroju szyi oszyty wąską koroneczką. Kokardy z wstążki z pikotami.

N. 59. Żabot kamizelkowy.

Część szmizetkowa i kołnierzyk zaplisowane są z jedwabnej gazy w paski; zakończenie brzeżne stanowi wstążeczka pokryta koronką; szersza wstążka użyta na proste części kamizelkowe spięto dwoma kokardami, u dołu zakończone zaplisowaną koronką.

N. 60—61. Paletocik z ranwersami.

Przody niezupełnie wcięte do figury, mają zaszyte po jednej zaszewce i zapinają się na kryte haftki; plastron zwierzchni nie rozcięty z jednej strony przyszywa się pod ranwersem, z drugiej zapina niewidocznie. Ranwersy szpiczasto zwężające się do dołu liczą w górze po 10 cent. szerokości, podobnie jak proste mankiety; kołnierz 5 cent. wysoki; klapki przy kieszeniach po 24 cent. długie, w szerszym końcu 6 cent. szerokie. Ryciny 60-61 przedstawiają przód i plecy paletocika z czarnego materyału gładkiego lub w kratę popielatą, przybranego czarnym aksamitem; wielkie czworokątne guziki z konchy perłowej. Przy rozporku z tyłu dane patki aksamitne 20 cent. długie, 6 cent. u dołu szerokie.



N. 48. Płaszczyk z pelerynką. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 68—71.



N. 53—54. Szlafrok z podpiętemi plecami. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 72.



N. 55. Szlafrok z żabotem. Patrz r. 11.



N. 56. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 3 w N-rze 14. Krój na arkuszu N. X, fig. 38—44.



N. 57. Suknia z vêtement. Patrz r. 2. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—8.



N. 58. Żabot z kołnierzem wykładanym.



N. 60—61. Paletocik z ranwersami.



N. 59. Żabot kamizelkowy.